



Redemptoris Missio

Fundacja Pomocy Humanitarnej

Bajka z misją



PROJEKT EDUKACYJNY DLA
NAUCZYCIELI KLAS 1-3 SP



Redemptoris Missio
Fundacja Pomocy Humanitarnej

BAJKA Z MISJĄ PROJEKT EDUKACYJNY DLA KLAS 1-3 SP

Maria H. Łączkowska

Spis treści

Odkrycie Filipa.....	5
Ołena czy Olena.....	12
Aurelien.....	19
Komputer i mądrość.....	24
Protest i co dalej?.....	32
Dwanaście litrów.....	37



Odkrycie Filipa

- Mamo, mogę pogadać z kolegami w sieci?
- Co ty mówisz Filipku, sieci należy unikać, bawcie się z dala od nich - Dziadzio Feliks aż poruszył wąsami na słowo „sieci” i wzdrygnął się od pyszczka do ogona. Przypomniawszy sobie ten paskudny dzień, w którym sam znalazł się w sieci. Gonili się wtedy z sąsiadami po zatoczce, tata przestrzegał, żeby bawili się w innym miejscu. Feliks był szybki jak strzała, no i jak strzała z lotkami utknął w sieci. Szarpał się strasznie, czym oczywiście pogarszał sytuację i nawet zręczna Fela z Funią nie były w stanie wypłatać go z więzienia. W końcu gruby Franek powiedział, że jak się nie uspokoi, to go tak walnie w nos, że wszystkie mewy pękną ze śmiechu na jego widok. Wtedy Feliks zaczął się zastanawiać, jak mógłby wyglądać jego nos po zetknięciu z płetwą Franka i przestał wierzgać, a foczki mogły spokojnie odnaleźć pozaciągane oczka i wkrótce wrócił do domu. Nigdy nie ukrywał niczego przed rodzicami i opowiedział im także tę przygodę.

Mama przytuliła go mocno, a tata ruszył wąsami - Feliks odziedziczył to po nim - i powiedział:

- Synu, mówiłem... - No i nic więcej nie musiał mówić. Sprawa była jasna.
- Dziadziu, znam tę historię, to nie takie sieci to taka nazwa tylko. Sieć, czyli nitki, które nas łączą, a nie robią krzywdę. – Dziadzia Feliks dziś już nie był szybki jak strzała, nie oddalał się za bardzo od domu. Spędzał czas na czytaniu gazet i trochę się martwił, co to będzie z foczą rodziną za parę lat. Dużo rozmawiał z Filipem,

który bardzo interesował się dawnym życiem fok. Często bawił się z kolegami w ten zapomniany trochę świat.

- Dobrze synku, leć do tej swojej sieci, tylko nie siedź tam za długo. - Mama szykowała coś smacznego dla całej rodziny, chyba dobrze jej szło, bo głos miała wesoły. Filip jak strzała (to po mnie, po mnie - ucieszył się dziadek) pognął na spotkanie z kolegami.

Podobne rozmowy odbyły się w kilku innych domach, m.in. u sokoła Soni i rysia Rysi.

Po chwili na monitorach zaczęły pojawiać się pyszczki większe i mniejsze oraz dzioby kolegów, którzy spotykali się głównie tą drogą. Niektórzy mieli okazję poznać się osobiście, a inni nie. No bo wiecie, jak się całe życie ślizga i skacze po krze, to źle by się spało w temperaturze +40, a o ślizganiu się pod bananowcem przecież mowy nie ma. A jak ktoś się od urodzenia buja na lianach, to by sobie pupę na lodowcu odbił. Dzięki Internetowi pingwin i szympanś mogli się zobaczyć i przekonać, jakimi są ciekawymi stworzeniami. Na swoich spotkaniach zwierzaki nie tylko się poznawały i wygłupiały, ale rozmawiały na poważne tematy.

- Zagrożenie, zagrożenie – często słyszały te słowa – podpytywały rodziców i dziadków, o co chodzi.

- Znikniemy, znikniemy, zapomną o nas – brzmiało tu i ówdzie.

Wiadomo, że tak być nie mogło. Ale co robić.

Rysia pokazywała jak zwykle tylko pędzelki uszu, bo była bardzo nieśmiała. Ludziom w ogóle się nie pokazywała, a kolegom tylko te pędzelki.

- Mama mi mówiła, że my byliśmy w dużo gorszej sytuacji, a od jakiegoś czasu jest lepiej.

Sokół Sonia dodała:

- Żubry mówią to samo.

Filip oparł się na płetwie, czekając, aż dołączą inni koledzy. Miał im dzisiaj coś do powiedzenia.

Przypomniawszy sobie, jak ostatnio bardzo się martwili o płetwale i żółwie szylkretowe – mały żółw błotny Żeliszaw pisał, że on będzie się bić o tego swojego starego jak świat kuzyna, tylko niech go tam ktoś zanieśli. Sonia była chętna na taką wyprawę, ale sprawa się skończyła prostym pytaniem: tam, czyli dokąd? Nie był to dobry pomysł. Bo jak się nie wie, dokąd iść, to tym bardziej nie wiadomo, z kim się bić.

Pomału na ekranie pojawiali się kolejni obecni. Ostatnia dołączyła kozica Kasia, którą zawsze proszono, by wyłączała dźwięk, gdy nie zabiera głosu, bo lubiła sobie postukiwać kopytkami, gdy ją coś bardzo poruszyło i zagłuszała wypowiedzi innych.

Spotkanie zaczął niedźwiedź polarny Nikodem:

- Witam wszystkich, a zwłaszcza ciebie, Piotrek. Znowu w tym tygodniu usłyszałem, że najbardziej lubię potrawkę z pingwinów.

Wszystkie zwierzęta roześmiały się - każde na swój sposób, a pingwin Piotrek aż klasnął w płetwy.

- Cha, cha, przecież my jesteśmy z różnych bajek, gdzie północ, gdzie południe – nie mógł się uspokoić. To chyba jasna sprawa, że jak chcący ewentualnie zjeść mieszka w Arktyce, a ewentualny pokarm na Antarktydzie, no to raczej obiadu nie będzie.

- Nikuś, ale ty nawet jakbyś tu przyjechał, to byś mnie nie zeżarł, co? - upewnił się Piotrek na wszelki wypadek. Zrobiło się cicho. Każde ze zwierząt wpatrywało się w monitor, rozmyślając, który z kolegów chętnie by je widział na talerzu.

- No coś ty! Nie jada się przyjaciół! – odpowiedział zdecydowanie Nikodem, a inne zwierzęta zaczęły entuzjastycznie kiwać głowami, bo każdy jakoś poczuł, że mógł

zostać o apetyt na kogoś innego posądzony. Nawet roślinożercy, tak im się udzieliło. W końcu jeden z roślinożerców, nikt potem nie pamiętał który, palnął się w czoło – nie wiadomo czy łapą, płetwą, czy skrzydłem i zakończył temat:

- Dobra, wszyscy mamy co jeść, polecam korzonki, a teraz do roboty. Jak ktoś głodny, to powędruje do kuchni w przerwie. – Roślinożercy zawsze znajdowali wyjście z niezręcznych sytuacji. Niektórzy mówili, że to dlatego, że ich brzuszki po jedzeniu nie były takie ociężałe, nie musieli dużo odpoczywać i lepiej im się myślało.

- Fakt, do roboty! – Nikodem przypominał sobie o roli prowadzącego. – Co tam masz dla nas, Filipie?

- Drodzy przyjaciele! Ponieważ sami nie możemy podjąć żadnych misji ratunkowych, jako gatunki zagrożone musimy liczyć na dobrych ludzi. Ale żeby dać się uratować, trzeba jakoś przetrwać. Moja mama mówi, że od martwienia się można zniknąć. Martwiąc się, tracimy niepotrzebnie siły. Tyle możemy zrobić sami: nie martwić się!

- Ciekawe jak – mruknął tygrys Tadek, straszny maruda, czemu wszyscy się dziwili, bo przecież wyglądał bardzo groźnie, zwłaszcza jego zęby, i to on powinien być zagrożeniem, a nie być zagrożony. Tak przynajmniej uważały wszystkie mniejsze zwierzaki. Ale dziwiły się po cichu, bo jak się Tadek rozryczał, obojętnie ze strachu czy ze złości, to karty dźwiękowe w komputerach nie wytrzymały i traciły łączność. Już sam mruk Tadka był taki jak głośna rozmowa Soni i Stasi – dwóch sokołów, więc nie tylko Filip usłyszał jego pytanie.

- Dobra, opowiem Wam o głuszcach. O, tak wyglądają – udostępnił kolegom zdjęcie. Nawet Rysia wysunęła pyszczek, by lepiej widzieć, ale koledzy skupieni na fotografii nawet tego nie zauważyli, że oto trafiła się okazja, żeby zobaczyć kolor oczu małej rysicy, o co przyjmowano nawet zakłady.

- Eeeeeee, zwykła kura taka. – Oblizał się lekko wilk Wojtek i zawołał siostrę –

Wiolka, patrz.

- No nie taka zwykła kura, choć kura – Filip pokręcił łepkiem – Ty to się Wojtek znasz, jak kura na pieprzu, o! Głuszcze to ptaki, których kiedyś dużo mieszkało w Beskidach. Na przykład w Wiśle – Filip pokazał na ekranie mapę.

- Ja słyszałam, że na głuszcze polowano – odezwała się Sonia.

- Tak, ale dbano też o nie. Dziś inaczej patrzy się na polowania. Ludzie już nie muszą tak zdobywać pożywienia. Głuszców było dużo, ale potem zaczęto wycinać drzewa i zmieniać wykorzystanie tych terenów. I wyobraźcie sobie, głuszcem zaszkodziły też inne zwierzęta - drapieżniki. Okazało się, że na tym terenie zostało tylko 10 ptaków. Wtedy ludzie wymyślili sposób, żeby je uratować. Mądrzy ludzie, którzy wiedzieli wszystko o głuszcach: co jedzą i czego nie lubią. I przygotowali dla nich odpowiednie warunki. Najpierw zdobyli jajka, z których wykluły się małe głuszcze. I potem te głuszcze same stały się rodzicami. Pisklaki zawsze przebywały z mamami. Ludzie trzymali się z daleka. Chodziło o to, żeby potem ptaki mogły żyć na wolności. Mieszkały w wolierach, jedzenie było jak najbardziej naturalne. Człowiek miał im pomagać, ale nie oswajać.

- O tak, wiem coś o tym. – westchnął Wojtek. – Wiola, pamiętasz opowieść o naszym kuzynie Władku? Jako małego szczeniaka ludzie zabrali go z lasu do domu, a gdy podrośł i nie był wcale takim miłym pieskiem, to go wypuścili. Władek wyrósł na strasznego łobuza. Bardzo chciał zbliżyć się do ludzi, ale oni go nie lubili. No to podkrażał im jedzenie, bo sami go tego nauczili. Skończył kiepsko – nie mógł żyć na wolności. Zwierzętom nie robi się takich rzeczy.

- Masz rację, Wojtku – do rozmowy włączył się tygrys Tadek. – Nawet z dzikimi zwierzętami z innych kontynentów ludzie potrafią coś takiego zrobić.

- Bo to bardzo dobrze, że ludzie chcą chronić przyrodę, ale muszą wiedzieć, jak to robić. Tak stało się w przypadku głuszców – Filip wrócił do swojej opowieści. – Tym

płochliwym ptakom dostarczano takie pożywienie, jakie później miały znajdować na wolności: zimą było łatwo, bo ich główne danie to igliwie, ale latem stół robił się bogaty: pączki, kwiaty, borówki, a nawet mrówki. – Na te słowa foki część słuchaczy oblizła się, a część skrzywiła nieco. Wiadomo, zwierzęta też mają różne apetyty. Młode ptaki mieszkaly jakiś czas w wolierach blisko miejsca planowanego wypuszczenia na wolność, żeby się przyzwyczaiły. A potem otwierano woliery. Wiecie, ile już ptaków w ten sposób zasiedliło okolice? Około pięciuset. Możecie sobie sprawdzić na stronach nadleśnictwa w Wiśle.

- To piękna historia, dzięki Filipie. – Nikodem pomachał dużą białą łapą do kolegi.
- To wzruszające! – Żółw Żeliszaw siąknął nosem. – Napiszę o niej Szymonowi, wiecie, temu kuzynowi szylkretowemu, żeby się nie martwił, że na pewno znajdą się dobrzy, mądrzy ludzie, którzy wymyślą sposób, żeby jego rodzina została uratowana.

Znów zrobiło się cicho na internetowym spotkaniu. Zwierzaki myślały o wszystkich znanych im rodzinach, które zapisywano w specjalnych księgach jako gatunki zagrożone. Dzięki opowieści Filipa czuły, że ten świat nie jest taki straszny, że o każdy gatunek można zadbać. Tylko muszą to robić ludzie przygotowani, żeby jeszcze bardziej nie popsuć trudnej sytuacji.

I nagle odezwała się mała Rysia:

- Wiecie co, ja już nie będę się tak bać. – Poruszyły się kitki na jej uszach, a za chwilę na ekranie pojawił się cały łepek. – Bo ja coś wymyśliłam, tylko się wstydziałam, pokażę wam taki plakat. – Rysia rozwinęła przed monitorem swoje dzieło: rysunki pokazywały, jak dzieci mogą pomóc dzikim zwierzętom, których nie jest za dużo. Nie hałasować w lesie, bo gdzieś niedaleko może mieszkać ktoś, kto się boi. Nie śmiecić, to znaczy nie wyrzucać takich rzeczy, które mogą zwierzętom zaszkodzić. Ogryzek jabłka rzucony pod drzewo posłuży i zwierzątkowi, i drzewu, ale resztki

plastikowej zabawki mogą zwierzę skaleczyć, a plastikowe woreczki łatwo połknąć przez nieuwagę.

Dobrze też czytać o zwierzętach, żeby wiedzieć, że np. małej sarenki nie wolno dotykać i zabierać, jej mama na pewno do niej wróci. A jak się o zwierzętach czyta, to potem wiadomo, gdzie je znaleźć, tylko trzeba być bardzo cichutko.

- Może nawet ja się ludziom pokażę - powiedziała cichutko Rysia, zwijając w rulon swój rysunek.

- I ja - dobiegł z jej komputera jeszcze cichszy głosik- okazało się, że to Renatka, młodsza siostra Rysi, która wstydziła się jeszcze bardziej i nawet kitek na uszach nie pokazywała dotąd kolegom, ale zawsze przysłuchiwała się tym spotkaniom, bardzo ją to wszystko interesowało i chciała, żeby ludzie i zwierzęta umieli żyć razem.

Chyba wszystkie zwierzęta tego chciały. Przed monitorami zrobił się ruch. No tak, spotkanie było ciekawe, czas szybko minął. Jednych mamy wołały na kolację, inni mieli zadania do odrobienia, a jeszcze inni wyczerpali już dzienny limit siedzenia przed komputerem. A zwierzęta były bardzo posłuszne. Pokiwały do siebie, kto czym mógł – na ekranie migały płetwy, łapy i skrzydełka oraz kitki rysiówien, tygrys pomachał ogonem. Potem jeszcze zabrzmiało „cześć” wymruczane, wybuczane, wyświergotane, wybulgotane we wszystkich zwierzęcych językach i monitory wygasły. Tego wieczoru wszystkie zwierzęta zasypiały z nadzieją, że ludzie tak samo jak one kochają Ziemię i na pewno będą szukać dobrych rozwiązań, choć wszystkie wiedziały, że od zawsze na świecie zachodziły różne zmiany. Ufały, że będą to zmiany na dobre.

Ołena czy Olena

- Ołena czy Olena – jak ma na imię ta nowa koleżanka – Gosia nie mogła się zdecydować.
 - Wiesz, córeczko, my mamy dwie literki „ł” i „l” i dwie głoski, a w imieniu twojej koleżanki te literki są połączone w jedno i dźwięk też jest jeden. Tak, jakbyś chciała naraz powiedzieć „l”, czyli dotykając językiem przednich zębów i „ł” - układając usta o tak- pokazała mama.
- Dziewczynka powtarzała po mamie, aż klasnęła w ręce:
- No tak, teraz już wiem, jak brzmi jej imię. Wiem też, że po polsku to Helena – pochwaliła się.
 - Mamo, a dlaczego o rodzinie Oleny i innych nowych dzieci, które pojawiły się w szkole mówi się takim trudnym słowem, coś od ucha.
 - To słowo brzmi „uchodźcy”, ale nie jest od ucha, tylko od słowa „uchodzić”, czyli uciekać – mama Gosi dużo wiedziała o języku polskim. Pracowała w wydawnictwie. Poprawiała błędy w tekstach i dbała o ładne zdania. Gosia uważała, że to bardzo ciekawa praca, bo mama mogła dużo czytać,
 - Rodziny takie jak Oleny musiały opuścić swoje domy z powodu wojny i szukać schronienia gdzieś indziej. Uchodźca to taka osoba, która znajduje schronienie w najbliższym bezpiecznym kraju, najczęściej w tym sąsiadującym z jego własną ojczyzną.
 - Mamo, prababcia mi ostatnio opowiadała o tym, jak musiała ze swoją mamą,





ciocią i bratem opuścić swój dom w czasie wojny. To ona też była uchodźcą? Muszę jej opowiedzieć o Olenie.

Rzeczywiście, przy najbliższej okazji Gosia tak zrobiła. Prababunia zainteresowała się bardzo tą historią. Gosia zapytała:

- Babuniu, a jak ja mogę pomóc tej dziewczynce?
- Po prostu się z nią baw, jak z innymi koleżankami. Bądź delikatna, bo na pewno jest jej smutno i może bać się niektórych rzeczy. No i sama zauważyłaś, że są różnice w języku. Mogą z tego wynikać zabawne, ale i trudne sytuacje. Nie pytaj za dużo, ale kiedy będzie chciała ci coś opowiedzieć, posłuchaj.
- Dobrze, babuniu. A może kiedyś przyprowadzę ją tutaj?
- Oczywiście, jeśli tylko będzie chciała.

Olena była miłą dziewczynką. Lubiła się uczyć. Ale zmiana szkoły wcale nie była łatwa – w ukraińskiej rytm nauki był trochę inny. Niektóre zadania były bardzo łatwe, ale niektóre okazały się trudniejsze.

No i ten polski. Przede wszystkim alfabet – dobrze, że Olena zaczęła się już uczyć angielskiego, bo polski i angielski korzystają z alfabetu łacińskiego, a ukraiński jest inny. Jej nazwisko napisane w polskim dzienniku tak dziwnie wyglądało. Gosia chciała wiedzieć, jak jej nazwisko wyglądałoby w dzienniku ukraińskim. Ojej, jakie dziwne te literki.

Na lekcji angielskiego dzieci miały narysować swój pokój i podpisać znajdujące się w nim przedmioty.

- Olena, ale ty chyba się pomyliłaś – zawołała Kinga - co tu robi kuchenka i lodówka obok łóżka?

- Bo ja teraz śpię w kuchni – powiedziała dziewczynka, kolorując kapę na łóżku. Siedziała na nim Sofija – ulubiona lalka, przyjechała z nią z Ukrainy.

Nikt w klasie oprócz Gosi nie widział drugiego rysunku Oleny. Był na nim pokój

z oknem udekorowanym niebieskimi firankami. Na parapecie stały orchidee, to znaczy po polsku storczyki – to dziewczynka już wiedziała. Obok łóżka stała półka z książkami, biurko z szufladami, w których Olena przechowywała swoje skarby, z drugiej strony domek dla lalek. Na łóżku siedziały wszystkie lalki dziewczynki, które bardzo lubiła przebierać. Gdy je rysowała, zrobiło jej się smutno – w podróż mogła wziąć tylko jedną lalkę i misia. Igor, jej młodszy brat też zostawił klocki i samochody, towarzyszył mu miś i dwie wyścigówki. Na drogę wzięli również książkę, którą tata czytał im wieczorami. Mama do dużego plecaka pakowała najpotrzebniejsze rzeczy. Olena wiedziała, że niełatwo było o wszystkim pamiętać.

Dzieci starały się być grzeczne i nie pokazywać, jak bardzo im smutno, że tata nie może jechać z nimi.

Podróż była długa, ale wszyscy starali się być dla siebie mili, no prawie wszyscy, ale mama mówiła, że tak to już jest i żeby się nie przejmować. Olena opowiadała o tym Gosi, bo wiedziała, że ta ją zrozumie, ale innym dzieciom nie.

Mieszkała teraz z mamą w mieszkaniu jednej pani, która miała dwa i tego akurat nie potrzebowała.

- U nas nie widziałam takich mieszkań, w których jest kuchnia w pokoju. Teraz już wiem, że to się nazywa aneks kuchenny.

Mieszkanie było na pierwszym piętrze. Pierwszego dnia nie mogły go z mamą znaleźć, bo Ukraińcy mówią pierwsze piętro na to, co Polacy nazywają parterem.

Olena wolała na lekcji narysować ten pokój, w którym teraz mieszkała, tak na wszelki wypadek, żeby się nie rozplakać, bo tęskniła do tego wszystkiego, co musiała zostawić. Gosia przytuliła ją mocno, gdy się o tym dowiedziała.

- To jasne, ja też bym tęskniła. To nie jest ani twoja, ani moja wina, że jest wojna i musiałś wyjechać. Wrócisz, zobaczysz. Wiesz, moja prababcia miała historię podobną do twojej, gdy była małą dziewczynką, w Polsce trwała wojna. Bardzo

chciałaby cię poznać.

Dla Oleny to było ważne spotkanie. Prababcia Gosi wiedziała, co trzeba powiedzieć w każdej sytuacji. Gosia cieszyła się, że Olena dobrze się czuła.

Nie wszystkim dzieciom było w polskiej szkole tak jak Olenie. Był taki chłopak - Jaro, stale się złościł i nawet bił bez powodu. Dzieci nie rozumiały dlaczego. Gosia trochę się go bała. Kiedyś do klasy przyszła pani pedagog (Jaro był akurat chory) i wytłumaczyła dzieciom, że chłopiec jest zły dlatego, że jest smutny. Przeżywa takie emocje, bo jego dom jest zniszczony. Musi minąć dużo czasu, dorośli będą pomagać, żeby było mu łatwiej. To wszystko było trudne do zrozumienia, ale dzieci postanowiły być dla niego cierpliwe.

- Mamo, mama Oleny jest dzielna, prawda?

- O tak, córeczko! Przyjechała z dwójką dzieci sama do obcego kraju. Języki są podobne, to prawda, ale musiała się zorientować, jak to wszystko u nas działa. Posłała dzieci od razu do szkoły, bo chciała wiedzieć, że są pod opieką i mają co robić, a sama zaczęła organizować ich życie na nowo.

- Wiesz, pani Tetiana uczy się codziennie polskiego, korzysta też z książek Oleny i prosiła mnie, żebym poprawiała jej błędy. To jestem teraz trochę nauczycielką, prawda, mamo?

- Trochę tak, córeczko, ale bardziej jesteś małym pomocnikiem. Pani Tetiana jest pielęgniarką, chce dobrze poznać polski, żeby pracować w swoim zawodzie.

- A wiesz mamo, teraz pomaga trochę dziadkowi Mikołaja, który jest lekarzem, ale nie ma już siły na pracę i na robienie zakupów. I wiesz, ten dziadek uczy panią Tetianę takich medycznych słów, na przykład kroplówka, bo u nich to brzmi jakoś podobnie do kropielnicy, wiesz?

Mama Gosi zaprosiła Olenę z mamą na podwieczorek. Dziewczynki bawiły się w jednej części pokoju, ale słyszały rozmowę pań o kursach języka polskiego,

o potrzebnych dokumentach, o pomocy finansowej. Gosia pomyślała sobie, że to wszystko jest takie ważne. Dobrze, że ktoś wymyślił, jak można pomóc uchodźcom, żeby mieli gdzie spać, co jeść, wiedzieli, gdzie iść do lekarza i żeby mogli przygotować się do życia w nowym kraju, nieważne czy na długo, czy na krótko. Wiedziała, że Olena chciałaby wrócić do domu i ma nadzieję, że będzie to kiedyś możliwe. Żałowała bardzo Jarka. Chciała być dobrą koleżanką obojga.

Aurelien

- Mamo, mam, patrz! Jaki zamek, jaki statek, ach, gdybym je dostał! – emocjonował się Wiktor kolorowymi budowlami z klocków z najnowszego katalogu.

Mama jak zwykle pokazywała mu pudło jego własnych klocków, mówiąc, że z tego, co już ma, na pewno da się zbudować taki zamek czy statek. A Wiktor za każdym razem pokazywał w katalogu klocek, który był absolutnie niezbędny, żeby ta budowla wyglądała porządnie, a którego w jego zestawach nie było.

- Wiktor, widzisz cenę tych klocków?

- No tak, 600 złotych, ale ja tyle mam, zbierałem. Mógłbym sobie kupić sam, prawda mam?

- Mógłbyś synku, to prawda. Ale czy wiesz, ile to jest pieniędzy?

- No jasne! - Trzecioklasista już wiedział takie rzeczy. Tyle zapłaciłaś w tym roku za nasze książki do szkoły, a Bartkowi tata za tyle kupił fajny używany rower.

- To dużo czy mało twoim zdaniem?

- No chyba tak średnio – powiedział Bartek.

- A wiesz synku, że pieniądze mają różną wartość w różnych krajach, prawda?

O tak, o tym Wiktor wiedział bardzo dobrze, bo gdy był kiedyś z rodzicami na wakacjach za granicą lody kosztowały tam dużo drożej niż w Polsce,

- No właśnie, synku. Popatrz. – Mama wyjęła kolorową gazetę i pokazała mu artykuł ze zdjęciami.

- To szkoła na Madagaskarze. – Z fotografii uśmiechał się chłopiec, chyba w wieku



Wiktora.

- Wiesz, że za równowartość 600 złotych ten chłopiec może chodzić do szkoły i jeść w niej obiad przez cały rok?

Wiktor przyglądał się zdjęciu.

- Naprawdę, mamó? – Pomyślał chwilę, że to jakoś dziwnie i głupio kupić sobie klocki, wiedząc, że ktoś za takie pieniądze może się uczyć.

- Wiesz, nie ma w tym nic złego, że lubisz ładne zabawki, ale nie wszystkie są ci potrzebne,

Wiktor chciał oddać całe swoje pieniądze na potrzeby dzieci, ale mama powiedziała, że ma inny pomysł.

Na najbliższym zebraniu rodziców opowiedziała o takiej akcji, która nazywa się adopcja na odległość – dorośli ludzie, grupy przyjaciół, rodziny wysyłają pieniądze dla jednego dziecka, żeby mogło się uczyć. Mama Wiktora zapytała, czy rodzice zgodziliby się na to, żeby dzieci wymyśliły, jak zdobyć pieniądze na pomoc dla jednego ucznia z Madagaskaru. Dorosłym spodobał się ten pomysł. Dzieciom też. Przez kilka dni na przerwach nie mówiono o niczym innym. Leo zaproponował, żeby zagrać w totolotka, Zoja, żeby grać na gitarze na ulicy, a Mikołaj, żeby robić na rynku sztuczki i tak zdobyć potrzebną kwotę. Ktoś chciał wyprowadzać psy za pieniądze. Pomysłów było bardzo dużo, ale żaden nie wydawał się dość dobry. I w końcu nie wiadomo, które z klasowych bliźniaków - Anielka czy Andrzej powiedziało:

- Wiecie co, a może byśmy nie robili sobie w tym roku prezentów na świąteczne spotkanie klasowe? Pamiętacie, miały być niespodzianki po 20 złotych, a jakby te pieniądze zebrać i wysłać na Madagaskar?

I tu natychmiast zapanowała zgoda, dzieci przedstawiły pomysł pani, która szybko policzyła, że w ten sposób uezbiera się potrzebna kwota.

- Chyba trzeba napisać ładny list do organizatorów akcji, że chcemy pomóc komuś ze szkoły na Madagaskarze - powiedział Wiktor. Tak, taki tradycyjny list z podpisanymi, bo to poważna sprawa. I znów kilka dni trwało wymyślanie listu, pisanie i ozdabianie. Natalia, która miała najładniejszy charakter pisma, przepisała na czysto, Wiktor poszedł na pocztę i wysłał go do fundacji. Po kilku dniach pani przyszła do klasy z tajemniczą miną. Pokazała dzieciom kopertę. W niej znajdował się list i zdjęcie.

Kochani trzecioklasiści!

Mieliście świetny pomysł. Dziękuję Wam i Waszym Rodzicom. Dzięki zebranych pieniądzom Aurelien (czyta się Orelię) zacznie naukę w naszej szkole. Jest miłym chłopcem, ma tyle lat, co wy i bardzo chce się uczyć. Ma też młodszą siostrę Nathalie (Natali). Na koniec roku szkolnego przyślę kolejny list.

Jeszcze raz Wam dziękuję

Marek

Zdjęcie Aureliena powieszono na ścianie obok zdjęć całej klasy. Chłopiec był teraz jednym z nich, choć mieszkał tak daleko i nie mógł się z nimi uczyć ani bawić. Dzieci napisały do nowego kolegi list na święta, a na koniec roku rzeczywiście pojawiła się kolejna korespondencja z Madagaskaru, kolejne zdjęcie i informacja o tym, czego chłopcu uczyło się łatwo, a co okazało się najtrudniejsze. W kopercie był też rysunek przedstawiający okolicę, w której mieszkał Aurelien – chłopiec bardzo lubił rysować. Był niezły z matematyki, ale francuski, który jest tam językiem obowiązkowym, w nim odbywają się lekcje, sprawiał mu trochę kłopotu. Anielka i Andrzej nad tym fragmentem listu pokiwali ze zrozumieniem głową – też uczyli się francuskiego i chociaż bardzo im się podobał, to wcale nie było tak łatwo

zapamiętać wszystkie słówka i zasady.

Minęło kilka lat. Bohaterowie naszej historii co roku wysyłali potrzebną kwotę, by Aurelien mógł się uczyć, co roku też na tablicy pojawiała się jego nowe zdjęcie. Gdy skończyli ósmą klasę, razem z rodzicami postanowili, że nadal będą mu pomagać, choć sami mieli już chodzić do różnych szkół. Zawsze jednak spotykali się w okolicach Bożego Narodzenia i dawali Wiktorowi potrzebne pieniądze. On dbał o ich wysłanie, a potem o przekazanie informacji o Aurelienie całej dawnej trzeciej A. Po wielu latach Wiktor został lekarzem, pojechał na rok na Madagaskar i spotkał Aureliena, który został nauczycielem. Ale to już całkiem inna historia.

Komputer i mądrość

Tego dnia Antek wrócił ze szkoły milczący. Mama nie pytała, czekała, aż sam zacznie opowiadać. Antek tak miał. Potrzebował czasu. Co innego Ignac – ten od razu dzielił się wszystkim, co go spotkało, zainteresowało czy zdenerwowało.

- Mamo, czy starzy ludzie są niepotrzebni? Jacek mówi, że pan Karol na niczym się nie zna. I że jest wyłączony, bo nie umie nawet klocków kupić przez Internet ani opłacić rachunków i nie wie, co to znaczy „lajkować”. – Temat pojawił się przy obiedzie, nad talerzem zupy pomidorowej z ryżem.

- Nie, no jasne, że tak nie jest. Starsi ludzie są bardzo potrzebni. Od zawsze.

- No tak, mamo, w każdej baśni, no prawie w każdej, bohaterowie radzą się starych, mądrych ludzi – odezwała się Klara, która ostatnio dużo czytała.

- O widzisz, Antku, Klara zwróciła uwagę na coś ważnego – połączenie starości z mądrością.

- No niby tak, ale skoro pan Karol nie korzysta z Internetu, nie pisze szybko na komputerze, to czy jest mądry?

- Wiesz, Antku, posługiwanie się komputerem to tylko jedna z wielu umiejętności. Kiedyś pisało się na maszynie, nawet były organizowane specjalne kursy szybkiego pisanie. Ale nikt nie mierzył mądrości tą szybkością. Coś się we współczesnym świecie pomieszało, wiesz?

- Ale nasz pradziadek dobrze pisze na komputerze.

- To prawda, ale przede wszystkim opowiada ciekawe historie, takie prawdziwe,

bo dużo wie. I to jest największa siła starszego człowieka: wiedza i doświadczenie. W wielu miejscach na świecie starsi ludzie są bardzo szanowani. Młodszy przychodzi do nich po radę, kierują się ich zdaniem. Starszego się szanuje, dostaje najlepsze jedzenie, najlepsze miejsce, zawsze ma opiekę. Młodzi wiedzą, że sprawność fizyczna mija, a człowiek który wiele przeżył, może się dzielić swoją wiedzą i dzięki temu my możemy uniknąć błędów.

- A czemu Jacek mówił, że pan Karol jest wyłączony?

- Jackowi pewnie chodziło o wykluczenie, czyli brak czegoś, co powoduje, że nie mamy wszyscy takiej samej sytuacji. Tak dzisiaj mówi się o wykluczeniu z powodu braku możliwości dojazdu do szkoły, braku dostępu do komputera. Ludzie, którzy mają na to pomysły, proponują różne rozwiązania, żeby to wykluczenie ograniczyć.

- O, w naszej bibliotece są takie zajęcia komputerowe dla starszych osób! – przypomniała sobie Klara, dokładając do stosiku książek do zwrotu kolejny tom „Opowieści z Narnii”.

- Dobry przykład, córeczko. Widzieliście, kto uczestniczy w tych zajęciach? Na przykład moja nauczycielka polskiego. Znać ją dobrze i wiecie, jak mądrą jest osobą. I jakie ciekawe książki zawsze wam podpowiada. To jeszcze jeden przykład, jak bardzo potrzebni są starsi ludzie, których nazywamy seniorami. Przypomniało mi się coś, córka tej polonistki – moja rówieśnica Miłka - była kiedyś na misjach w Afryce. Gdy przyjechała, wiele opowiadała o tym, jak tam żyją ludzie. I właśnie o rodzinach dużo mówiła. Była w Botswanie i opowiadała o szacunku dla starszych ludzi. My możemy poznać naszą historię i tradycję, czytając książki i oglądając filmy, ale ludzie tam żyjący dowiadują się o tym z pieśni i z opowieści, a kto je zna, jak nie starsi ludzie? Śpiewają i opowiadają, młodszy je zapamiętują i przekazują dalej.

- To znaczy, że ci starsi ludzie są jak dla nas Internet? – zapytała Klara.



- No coś ty, pradziadek Antek jest milion razy lepszy niż Internet, ciekawiej opowiada. A poza tym tata zawsze mówi, że w Internecie trzeba uważać, z jakiego źródła się korzysta. Trzeba je weryfikować. Weryfikować, znaczy sprawdzać - odezwał się Ignacy, wielki fan pradziadkowych opowieści, zwłaszcza o tym, jak prapradziadek uciekł Rosjanom, którzy jako lekarza zabrali go ze swoim oddziałem, a potem dowiedział się, że jak już opatrzy rany dowódcy, to straci życie.
- Macie oboje rację – roześmiała się mama. Jesteście szczęściarzami, bo macie dziadka Pawła i pradziadka Antka. Nie mieszkamy daleko od nich i możecie korzystać z ich wiedzy. Dziś z różnych powodów nie wszyscy tak mają, a my jesteśmy w tym podobni do dawnego stylu, w jakim żyły rodziny.
- No i do afrykańskich rodzin – dodał Antek. – A co jeszcze opowiadała pani Miłka, czy miała jakieś przygody?
- O, przygód miała wiele. Może uda nam się ją kiedyś zaprosić. Gdy pojechała na misję, zrobiła sobie przerwę w studiach. Dziś pracuje jako lekarz pediatra. Pewnie tego nie pamiętacie, ale parę razy korzystaliśmy z jej pomocy, gdy choroba za chorobą was doganiała i trzeba było zadbać o waszą odporność. To tam na misjach pani Miłka podjęła decyzję o tym, że zajmie się opieką nad dziećmi. Czy wiecie, że dzięki niej do pewnego szpitala w Afryce trafiły pierwsze inkubatory, w których umieszcza się malutkie dzieci, które trochę za wcześnie przychodzą na świat?
- Ja pamiętam, mamo. Byłem jeszcze w przedszkolu i my też zbieraliśmy pieniądze na te łóżeczka, jak mówiła nam pani przedszkolanka. Ale pamiętasz jakąś przygodę pani Miłki?
- To jest historia związana ze starszymi ludźmi. Pani Miłka chciała poznać takich mądrych starszych ludzi. Bo chciała się czegoś dowiedzieć o wychowywaniu dzieci i o tym, jak leczono w wioskach chore brzuszki, kolki niemowląt i skaleczenia. Pielegniarka ze szpitalika zabrała ją do swoich dziadków. Pani Miłka chciała im zanieść

jakiś prezent. U nas sprawa prosta – czekoladki, dobra herbata, a tam? Wielkie było jej zdziwienie, gdy okazało się, że starszym ludziom daje się w prezencie koguta i to żywego. Przeczytała o tym na stronie Afryka.org, która zamieściła wspomnienie z misji pewnej siostry zakonnej.

- O rany! – zawołał Ignac. – Takiego dużego i bojowego jak Zorro dziadka Pawła?

- No żebyś wiedział, że takiego. Duży żywy kogut w prezencie to znak szacunku dla starszych ludzi, to bogaty prezent. Pani Miłka opowiadała nam ze śmiechem, jak myślała, że tego koguta nie doniesie, tak się szamotał, a nie miała dla niego żadnej klatki ani kontenera. Starsi państwo byli bardzo wzruszeni prezentem i tym, że ktoś docenił ich tradycję.

- A może na święto babci i dziadka my też kupimy nowego koguta? – z błyskiem w oku zapytał Ignacy.

- Ignac, to nie byłby dobry pomysł, dwa koguty w jednym kurniku walczyłyby ze sobą – zwrócił uwagę Antek. – Ale możesz zrobić portret Zorra, przecież świetnie rysujesz – dodał prędko mały dyplomata, żeby bratu nie było przykro z powodu odrzucenia pomysłu. – Mamo, a jak to jest z tym podobieństwem naszej rodziny do rodziny afrykańskiej?

- Mamo, co jeszcze opowiadała pani Miłka o tej wizycie? – w tym samym momencie zapytała Klara.

- Wiesz, o tej to już więcej nie pamiętam, ale były inne opowieści. Kiedyś na naszym placu zabaw jedna z mam siedziała smutna i zmęczona, pani Miłka zapytała ją, co się stało? A ona powiedziała, że nic jej nie jest poza zmęczeniem. Jej dwójka dzieci często choruje, a dziadkowie mieszkają daleko. Przychodziła do pomocy zaprzyjaźniona studentka, ale wyjechała na wakacje, a mąż ma bardzo dużo pracy, bo chcą zrobić remont mieszkania. Powiedziała, że do wychowania dzieci potrzebna jest cała wioska. Wtedy pani Miłka powiedziała, że rozumie Zosię, bo tak było

na imię tej mamie, żeby do niej zadzwoniła, gdy będzie potrzebowała pomocy przy dzieciach, to coś wymyśli, a z tą wioską to jest prawda. Przekonała się o tym w czasie pobytu w Afryce właśnie. Tam ludzie żyją praktycznie razem, wszystko o sobie wiedzą. Często razem pracują i razem spędzają wolny czas. W takiej wiosce jest zawsze dużo dzieci. I mamy nie muszą się martwić, co się z nimi dzieje, gdy idą po wodę lub są na polu, bo zawsze jest ktoś, kto ich dopilnuje. Ponieważ żyją według podobnych reguł, to zwraca się uwagę, gdy ktoś się źle zachowa. To tu właśnie bardzo pomagają starsi ludzie, którzy nie mają już siły do pracy fizycznej, ale mają czas, żeby opowiadać dzieciom historie, wiedzą, jakie zioła podać, gdy chorują, mogą je też nauczyć pożytecznych umiejętności. Zresztą dorośli też się od nich uczą, na przykład, jak najlepiej obsiać pole, kiedy czas na zbiory, jaka będzie pogoda i wielu, wielu różnych rzeczy, które my znajdujemy w książkach lub w Internecie. Oj, taka wioska potrzebna jest i nam, wszystkim mamom, które wychowują dzieci. Kiedyś żyło się blisko swojej rodziny i tak to działało. Dziś często dziadkowie, ciocie i wujkowie są porzuceni po całym świecie, wszyscy widują się tylko z jakichś ważnych okazji i takie wioski trzeba tworzyć wśród znajomych i sąsiadów.

- Ależ my się możemy uczyć od mieszkańców Afryki! – zawołała Klara.

- A my już mamy trochę taką wioskę, gdy pan Janek goni nas, kiedy gramy w piłkę tam, gdzie nie trzeba – zaśmiał się Ignac – a pani Jadzia zwraca uwagę, gdy ktoś mówi brzydkie wyrazy, ale zawsze ma dla nas ciasteczka.

- Tak właśnie działa taka wioska wychowująca dzieci. Wioska, w której są osoby w różnym wieku i każdy ma swoje miejsce, jest potrzebny. W Afryce dziś też to się trochę zmienia, gdy ludzie wyjeżdżają do miast, tam zakładają swoje rodziny i pracują. Ale najważniejsze jest, żeby szanować starszych ludzi, pomagając im, gdy tego potrzebują. Wiecie co, może uda nam się spotkać z panią Miłką i posłuchać

jej wspomnień z Afryki. – zakończyła mama.

- Ale najpierw odwiedzmy pradziadka Antka! – Antek cieszył się, że ma imię po pradziadku. – Muszę Jackowi o nim opowiedzieć – kiedyś był mistrzem w rzucaniu oszczepem i bieganiu przez płotki. Dziś ma już 90 lat, bardzo lubię słuchać jego opowieści, zwłaszcza tych o historii świata. Dziadek dużo wie i ma ciekawe książki. I często poprawia informacje, które znajduję w Internecie. Dziadek na pewno nie jest wykluczony i jest bardzo mądry i potrzebny. Pan Karol na pewno też! Musimy się dowiedzieć, czego może nas nauczyć pan Karol.

- A ja sobie myślę, że ludzie z Afryki są bardzo podobni do nas. – odezwał się Ignac znad swojego obrazka, na którym pojawił się kogut z pięknym ogonem. Chłopiec był człowiekiem czynu- każda dobra myśli musiała być od razu zrealizowana. Czasami zdarzało mu się nie do końca sprawdzić, czy pomysł jest dobry, czy nie, ale to temat na zupełnie inną opowieść.

Protest i co dalej?

- Protestujemy, plastiku tu nie chcemy! Protestujemy, plastiku tu nie chcemy! - Michał wmaszerował do pokoju, nie zauważając dziadka czytającego gazetę.
- Co mówisz, Michasiu? Co to za protest? – zainteresował się dziadek, który zawsze był na bieżąco ze wszystkimi wydarzeniami w kraju i na świecie.
- Oj, dziadku, ależ było fajnie! Emilka wymyśliła taką akcję dla czystej planety. Chodziliśmy po całej szkole, rozrzucaliśmy ulotki i zbieraliśmy podpisy. No wie dziadek, żeby tego węglowodanowego śladu nie było.
- Węglowego, Michał, węglowego – poprawiła Gosia wchodząca do pokoju, która choć młodsza, zawsze знаła właściwe słowa.
- Dziadku, a może dziadek też podpisze petycję? I Gosia, i babcia? A może ktoś podpisze za Piotra i Marysię, bo oni jeszcze nie umieją pisać?
- No pokaż, pokaż, Michałku, co tam przygotowaliście.

Michał podał dość wymięte trzy karteczki. Na pierwszej napisane było wykrzykiwane przez niego przed chwilą hasło, a pod spodem kilka podpisów i na dwóch kolejnych kartkach też. Trzy z nich napisano tym samym charakterem pisma.

Dzieci zauważyły, że dziadek poprawił okulary na nosie, a to znaczyło, że zaraz będzie poważna rozmowa. Dziadek był prawnikiem. Pomagał ludziom w różnych trudnych sytuacjach. Występował też w sądzie – był adwokatem. Mówił, że jest taka zasada: dopóki się komuś nie udowodni jego winy, jest niewinny. Tę zasadę stosował też w domu. Dzieci wiedziały, że każdą sprzeczkę i niewyjaśnioną sprawę



załatwi, zawsze znajdzie jakieś rozwiązanie i wytłumaczy, dlaczego trzeba coś zrobić albo powiedzieć, a dlaczego czasami lepiej pomilczeć.

- No dobrze. Popatrzmy. – Dzieci przysiadły na poręczach fotela. – Czyli to jest petycja w sprawie ...?

- No żeby nie śmiecili i żeby nie było w szkole plastiku.

- Acha, no tak. A skąd to wiadomo?

- No bo tu jest napisane. – Michał pokazał tekst na pierwszej kartce.

- Taaaak, a te kartki czego dotyczą?

- No... tego samego... – Michał nie był pewien, o co chodzi dziadkowi, przecież to jasne.

- A niekoniecznie, niekoniecznie. – Dziadek na czystej kartce napisał: „Wnosimy o organizowanie raz w tygodniu dyktand i sprawdzianów z tabliczki mnożenia”. Podpisał się na tej kartce, a pod nią położył te dwie tylko z podpisami. – To jest petycja o większą liczbę sprawdzianów, Michałku.

- Ale jak, dziadku, no jak? – Michał próbował protestować, ale już pomału zaczął rozumieć, o co chodzi.

- Zapamiętajcie, kochani, jeśli się dobrze nie przygotujemy, nie osiągniemy zamierzonego celu, a nawet możemy osiągnąć coś odwrotnego, niż chcieliśmy. Jeśli przygotowujecie petycję, na każdej kartce z podpisami musi być wiadomo, o co chodzi, bo inaczej wasze podpisy łatwo wykorzystać i podpiąć pod zupełnie inny pomysł.

- To jakby na każdej kartce było napisane, że to jest protest przeciwko plastikowi w szkole, to by było dobrze?

- Tak, Michałku, tak. Ale zobacz, tu jest jeszcze jeden problem: Zuzia, Ola, Marek – te imiona są napisane tą samą ręką, prawda?

- No tak, bo Zuzi i Oli nie było, a Marek powiedział, że one by się na pewno

podpisały.

- Oj, tak nie można. Jeśli gdzieś trzeba się samemu podpisać, nikt tego za nas zrobić nie może.
- Dobrze, dziadku. – Michałowi jakoś głupio się zrobiło, wiedział, że dziadek ma rację, że wcale nie chce im psuć pomysłu. Zawsze mówił, że lepiej nic nie robić, niż robić byle jak.
- No dobrze, moje zuchy. Jest petycja, był plakat i marsz po szkole. I co dalej?
- W sumie to jeszcze nie wiem. Ale dorośli muszą zrozumieć, że ten plastik to szkodzi zwierzętom i powietrzu i za dużo konsumujemy.
- Konsumujemy. – Gosia westchnęła głośno. Jak można tak przekręcać proste słowa.
- Acha, za dużo. A kto to robi?
- No ludzie na Ziemi i w kosmosie.
- A dlaczego oni, zamiast „my”? A co wy możecie zrobić?
- No, protestować.
- A od tego protestowania ubędzie plastiku?
- No w sumie to nie. To to jest bez sensu, dziadku?
- Nie, nie wszystkie protesty są bez sensu. Ludzie protestują, żeby pokazać, że coś im się nie podoba, że coś ich gniewa. Czasami protestują w obronie kogoś, ale to jeszcze inna historia. Ale protestując przeciwko temu plastikowi, protestujesz trochę przeciwko sobie.
- Jak to? Ja nic nie produkuję.
- To prawda. Ale właśnie konsumujesz. Czy masz w tym roku nowy piórnik?
- No tak.
- I z czego on jest?
- No z plastiku.

- A stary się popsuł?
- No nie, znudził mi się.
- Ostatnio kupiłeś kolekcję figurek od kolegi, prawda?
- No tak, dziadku, one są teraz najmodniejsze, wszyscy je zbierają.
- A te z zeszłego roku?
- Eeee, to już przeszłość, tego nikt nie zbiera.

I nagle Michał zrozumiał, o co chodzi: trzeba zacząć od siebie.

Dzieci poszły z dziadkiem do kuchni. Gdy czekały na przygotowanie jabłek i gruszek, Michał rozejrzał się po pomieszczeniu. Na blacie stał stary bidon dziadka, w którym zawsze brał wodę na spacer. Przyprawy babci stały równiutko w prostokątnym pudełku po lodach. W szufladzie w podobnych pudełkach leżały sztuczce. Michał przypomniał sobie, że także śrubki i gwoździe dziadek przechowywał w takich pudełkach i puszkach, a babcia nici do szycia i do wyszywania trzymała w pojemnikach po kapsułkach do prania. Przecież nawet kredki u dziadków czekały na dzieci zamknięte w takim pudełku. No tak, w szkole mówili o recyklingu. O powtórnym wykorzystaniu plastiku.

W tym czasie Gosia wymieniła worek w koszu na śmieci – wzięła starą reklamówkę. U dziadków nie było nigdy za dużo śmieci. Nawet te kredki dziadek ostrzył aż do całkiem malutkich, a w klasie z chłopakami często już takie wyrzucali.

- Proszę bardzo. – Dziadek postawił przed dziećmi talerz z owocami.
- To ja wyrzucę skórki – zaoferował się Michał.
- Te od gruszki możesz, ale z tych od jabłek zrobimy ocet jabłkowy, po co kupować w sklepie. – To był jeszcze jeden dobry pomysł dziadka.

Michał pomilczał chwilę, a potem powiedział:

- Dziadku, mam pewien pomysł, co dziadek o nim sądzi?

I opowiedział, że proponuje klasie, żeby każdy zobaczył, jak wokół siebie może

nie mnożyć plastiku. I będą się dzielić tymi pomysłami.

- To jest dobry trop. – Uśmiechnął się dziadek. Ciekawe, czy się uda - pomyślał i przypomniał sobie, jak wygląda klasa Michała w czasie przerwy: na podłodze piórniki, z których wysypują się wszystkie możliwe akcesoria. Na dywanie z tyłu klasy podeptane klocki i zdekompletowane gry.

O tym jednak głośno nie powiedział, bo czuł, że dzieci same wpadną na dobre rozwiązanie. Zaprosił za to swoje wnuki przed komputer i pokazał im zdjęcia ze strony Fundacji Redemptoris Missio, na których widać, jak mieszkańcy Afryki potrafią stosować ten recykling, o którym dowiedział się w szkole Michał. Po prostu wykorzystują w codziennym życiu różne przedmioty, które inni by już czasem wyrzucili. Z kolei na stronie misje.pl dzieci mogły zobaczyć zabawki robione np. ze starych puszek albo buty z butelek plastikowych i opon. Michał postanowił zamówić takie recyklingowe autko, żeby pokazać je kolegom – stało się symbolem akcji: mniej śmiecenia – zaczynam od siebie!

Dwanaście litrów

Dziadku, czy dziadek wie, co to szara woda? – rozemocjonowany Franek ustawiał porządnie buty w przedpokoju, jak uczyła mama.

- Szara woda? Fe, nie myłbym się taką! - skrzywił się Leonek.

- Ale czasami w rurach płynie żółta woda, a na wakacjach piliśmy wodę o takim dziwnym smaku. Jak smakuje szara woda, ciekawe? – zwróciła uwagę dociekliwa Zosia.

- Dziadku, poproszę wodę – trzyletnia Hania też chciała wziąć udział w dyskusji. Okazało się, że spragnionych było więcej, ale woleli herbatę malinową. Kiedy wszyscy usiedli w kuchni, dziadek wstawił wodę, a Franek rozglądał się po pomieszczeniu, by zaproponować udoskonalenia związane z szarą wodą, czyli z ponownym wykorzystaniem wody, która nie jest zanieczyszczona żadną chemią. Zaczął szkicować na papierowej serwetce różne płataniny rur i naczyń zbierających tę wodę. Dziadek jak to dziadek uśmiechnął się i pokazał na zlewozmywak, w którym stała mała kwadratowa żółta miska oraz na niebieską konewkę w kącie na kuchennym blacie.

- To mój system odzyskiwania szarej wody.

- Gdzie, gdzie? – dopytywali chłopcy.

- Niech dziadek pokaże – prosiły dziewczynki.

- Proszę bardzo! – Dziadek umył jabłko z ulubionej jabłonki wnuków, opłukał łyżeczkę, którą Hania chwilę wcześniej przypadkowo zrzuciła na podłogę. Gdy



skończył, przelał wodę z miseczki do konewki.

- Cy mogę podlać kwiatki? – zapytała Hania.

- Hanusiu, przecież babcia mówiła, że woda musi trochę postać przed podlewaniem – przypomniała Zosia, rodzinna ogrodniczka.

- Dlaczego? - chciał wiedzieć Leonek.

- O tym opowiem wam trochę później. Teraz mamy coś do zrobienia – powiedział tajemniczo dziadek. Dzieci lubiły te dziadkowe tajemnice. Tym razem było to wspólne robienie szarlotki, za którą wszyscy przepadali.

- To teraz my dziadkowi opowiemy naszą historię o wodzie – zaproponował Franek. A historia ta brzmiała tak:

- Leon! Zęby – zawołał tata. Chłopiec wbiegł po schodach, tak jak lubił – co dwa stopnie. I już po chwili z rozmachem otworzył drzwi do łazienki. Odkręcił kran, wziął swoją dinusiową szczoteczkę i wycisnął pastę z tubki, nalał wody do kubeczka, zaczął czyścić zęby.

- Chłopie! – rozległ się niski głos taty wchodzącego do łazienki – nie marnuj wody. Zakręcaj kran. – Tata westchnął – to zdanie było refrenem codziennej łazienkowej piosenki przy myciu zębów.

– Dzieciaki, chodźcie tu! – Gdy cała czwórka była już w łazience, tata podał szczoteczki, podstawił pod kran miskę, odkręcił wodę i wszyscy mieli umyć zęby. Ustawił stoper i na „raz, dwa trzy” zaczęło się szorowanie. Zosia chciała zakręcić wodę, ale tata pokręcił głową, że nie. Po chwili w łazience słychać było tylko szelest szczoteczek i szum wody wypełniającej miskę. Stop – tata wyłączył stoper – trzy minuty minęły. Dzieci parsknęły śmiechem, wyglądały wszystkie jak krasnoludki z białymi wąsami i brodami z piany. Wypłukały zęby. Tata zakręcił kran. Miska była wypełniona po brzegi, a była dość duża.

- Wiecie, ile tu jest wody? 12 litrów. Gdybym nie podstawił miski, tyle by się

zmarnowało, a gdyby każde z was myło zęby osobno przy odkręconej wodzie, to...

- O rany! – Franek znał już tabliczkę mnożenia i szybko policzył, że cztery razy dwanaście to jest 48 litrów.

Leonek i Hania jeszcze nie wiedzieli, co to litry, więc tata powiedział, że dwanaście litrów to tyle wody, ile wypełniłoby wszystkie kubki, filiżanki i szklanki, które mają w domu. Hania zrobiła okrągłe oczy, a Leonek zmarszczył brwi i z błyskiem w oku zapytał:

- Tato, ale jakbym krócej mył zęby, to wody poleciałoby mniej? To ja tak będę robił. – Leonek miał swoją klepsydre do odmierzania czasu mycia zębów, ale zwykle kończył dużo przed przesypaniem się całej porcji piasku, bo się nudził, jak mówił. Tata ukrył uśmiech pod wąsem. – Nie kombinuj za bardzo, synku. Najmniej wody zmarnujesz, myjąc zęby tyle ile trzeba, ale przy zakręconej wodzie.

- No dobra, tato, będę pamiętał.

- Wiecie, dlaczego nie należy marnować wody?

- Po to żeby starczyło dla innych? – Zosia wiedziała o takich sprawach.

- A wiecie, że są miejsca na ziemi, gdzie te 12 litrów wody to prawdziwy skarb? Czytałem o tym na stronach Polskiej Akcji Humanitarnej. Człowiek do życia potrzebuje minimum 50 litrów dziennie. Czyli mniej więcej tyle, ile zmarnowalibyście, gdyby każde z was po kolei myło zęby po trzy minuty przy otwartej wodzie z kranu. A dziewczynki i ich mamy wędrują w Afryce czasami po 6-7 kilometrów dziennie, żeby tę wodę przynieść. W niektórych krajach ludzie muszą przeprowadzać się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu wody. A wiecie, że potrafią nawet bić się o wodę?

- O ja bym się bił z każdym, kto nie pozwoliłby takiej dziewczynce wziąć wody. Jak rycerz bym się bił! – Franek czytał właśnie o rycerzach króla Artura.

- Ojej, ale trzeba być silnym, żeby tę wodę nosić. – Leonek próbował podnieść

wypełnioną miskę.

- Tatusiu, to niesprawiedliwe! – Zosia westchnęła smutno. – Dlaczego?

Tata przytulił córeczkę, ale zanim cokolwiek powiedział, odezwał się Franek.

– Zośka, wiesz, są takie sprawy. Nie wiemy, dlaczego. Nie znajdziemy odpowiedzi. Ale coś możemy zrobić, prawda, tato?

- No jasne!- Tata pogłaskał ciemną główkę synka.

- No dobra, to ja już będę mył te zęby, aż się piasek w klepsydrze nie przesypie, ale nie będę odkręcał wody bez potrzeby! – oświadczył Leonek poważnie.

- A ja będę mniej piła- powiedziała szybko Zosia.

- Ja tes, ja tes – Hania lubiła naśladować siostrę.

- To akurat nie jest dobry pomysł, trzeba pić, żeby dobrze funkcjonować. Bez wody gorzej wykonujemy nasze zadania, jesteśmy zmęczeni, nasz mózg wolniej pracuje. Trudniej nam się myśli.

- O tak, tato. Przecież nasz organizm składa się w dużej części z wody – Franek interesował się od przedszkola ciałem człowieka i sporo wiedział. Leonek trochę z niedowierzaniem popatrzył na swoje ręce i nogi, gdzie ta woda się chowa?

- Masz rację, Franku. I ponieważ nie jesteśmy wielbłędami i nie umiemy robić zapasów wody, musimy je uzupełniać.

Leonek zaczął sobie wyobrażać, gdzie mógłby być w człowieku taki zbiornik na wodę i jakby to wyglądało.

- Trzeba pić, dzieci, ale trzeba pić czystą wodę. To też jest problem w różnych zakątkach świata.

- Widziałem film o takiej rzece z brudną wodą, pływały w niej różne śmieci, ludzie ją pili i chorowali. – przypomniał sobie Franek.

- A ja widziałam, jak ludzie zbierali wodę z deszczu. – dodała Zosia.

- Mówicie o kolejnych ważnych sprawach. – Dzieci dumnie wyprostowały się na



słowa taty, lubiły poważne rozmowy na ważne tematy.

- Ile tych problemów na świecie!- Leonek złapał się za głowę. – Nie ma wody, woda za daleko, woda brudna. Co tu robić?

Okazało się, że tata jak zwykle ma odpowiedź na takie pytania. Opowiedział dzieciom o ludziach, którzy zbierają pieniądze, żeby budować studnie lub oczyszczalnie wody, by dostarczać wodę tam, gdzie jej brak. I domyślacie się na pewno, że nikt nie protestował, gdy Zosia zaproponowała, żeby pieniądze odłożone na niedzielne lody przekazać właśnie na taki cel. Kiedy wieczorem rodzice zaglądali do pokoju dzieci, by zobaczyć, czy wszyscy śpią dobrze przykryci, przypomnieli sobie, jak byli bardzo mali i dostawali z Niemiec paczki z kaszkami, dzięki którym dzieci rosły zdrowo, a których wtedy brakowało w polskich sklepach. Może te kaszki też kupiono za pieniądze przeznaczone na niedzielne lody? Kto wie?

A Zosi przyśnił się sen o dziewczynce w niebieskiej sukience ze złotymi skrzydełkami, która zaglądała w różne zakątki świata. W łazience podobnej do ich łazienki wyskoczyła z miski pełnej wody i zawołała do dzieci:

- Hej, zakręćcie kran!

W jakimś innym domu pojawiła się w butelce z wodą i wołała do małej dziewczynki:

- Pij, pij dużo wody. To ważne.

A potem pojawiła się w jakimś dziwnym pojemniku, ona była czyściutka jak wcześniej, ale woda nie wyglądała dobrze. Dziewczynka latała tuż przed nosem małego chłopczyka i machała drobnymi rączkami:

- Nie, nie pij tej wody! Pochorujesz się!

A ostatnie, co Zosia zapamiętała ze snu, to dziewczynka wyfruwająca z jakiegoś głębokiego wymurowanego dołu, robiąca fikołka w powietrzu i śpiewająca razem z ludźmi zgromadzonymi wokół tego miejsca:

- Hura! Mamy własną wodę!

Dziewczynka usiadła na murku, wygładziła sukienkę i patrzyła, jak jakiś stary człowiek spuszcza powoli wiadro do nowej studni i po chwili dwaj młodzi chłopcy wyciągają je pełne wody i każdy, kto chce, może się napić. Zosia zobaczyła w swoim śnie dziewczynkę z czarnymi warkoczykami, która długo wpatrywała się w podany jej garnuszek i wyglądała na bardzo zadowoloną.

Zosia obudziła się uśmiechnięta. Choć bardzo lubiła lody truskawkowe, nic a nic nie żałowała, że tej niedzieli ich nie będzie.



Redemptoris Missio

Fundacja Pomocy Humanitarnej

Fundacja Pomocy Humanitarnej „Redemptoris Missio”

ul. Junikowska 48
60-163 Poznań
e-mail: medicus@ump.pl
tel.: 609-210-184



Redemptoris Missio
Fundacja Pomocy Humanitarnej